



ANTON DISCLAFANI

# Przyjaciółki

Plotkara w wersji *vintage* — „The Skimm”



ANTON DISCLAFANI

# Przyjaciółki

Przełożyła:  
LUCYNA WIERZBOWSKA



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*The After Party*

Redaktor prowadząca: Marta Budnik

Redakcja: Zuzanna Klim

Korekta: Marta Akuszevska

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Ysbrand Cosijn (Shutterstock.com)

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2016 by Anton DiSclafani

Copyright © 2019 for the Polish edition

by Wydawnictwo Kobiece Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Lucyna Wierzbowska, 2019

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2019

ISBN 978-83-65601-07-0



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

[www.facebook.com/kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo Kobiece

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

DŁA PETERA SMITHA,  
KTÓRY PRZEZ CAŁY CZAS BYŁ PRZY MNIE,  
GDY PRACOWAŁAM NAD TĄ KSIĄŻKĄ.

I KU PAMIĘCI PETERA DISCLAFANIEGO  
(1928–1990)

# Prolog

Kobiety wciąż pytają mnie o Joan. Zarówno te młodsze, które o jej historii i moim w niej udziale przeczytały lub usłyszały przez przypadek, jak i te starsze, które podziwiały jej fotografie w kronikach towarzyskich: Joan – klejnot, Joan – iskra w ramionach mężczyzn: Franka Sinatry, Dicka Kruegera, Diamentowego Glenna. Wszystkie chcą się o niej czegoś dowiedzieć. Mówię im, że najpierw była blond ulubienicą Furlowa Fortiera. Wielbiono ją od najmłodszych lat.

Potem stała się najpopularniejszą bywalczynią salonów w Houston. Nikt nigdy do końca nie zrozumie, jak to było znaleźć się obok niej, ale spróbuję dać ogólne wyobrażenie. W Joan nie było nic subtelnego. Urodziła się, aby na nią patrzeć. Była szczupłą, ale nie chuda. Sukienki opinały jej ciało, przyciągały uwagę do kształtnych bioder, silnych ramion i słynnych piersi. Gdzie nie poszła, szampan tryskał jak fontanna. Dawała ludziom szczęście. Zachwycała urodą, nie ma co do tego żadnych wątpliwości, ale to nie wszystko. Promieniowała od wewnątrz.

W tym miejscu się zatrzymuję. Kobiety chcą wiedzieć, jak zniknęła. Ale ja nie mogę im tego wyjaśnić.

Nie mówię im, że miłość do niej jest moim pierwszym wspomnieniem, moim najwcześniejszym instynktem. Od pierwszych lat życia byłam jej przyjaciółką, współczesną dwórką, siostrą, z którą łączyło ją wszystko poza więzami krwi.

Pierwszy raz zniknęła w 1950 roku, kiedy byłyśmy w ostatniej klasie szkoły średniej. Szybko udało nam się ustalić, że uciekła do Hollywood, aby zostać gwiazdą. A gdybyście w owym czasie znaleźli się z nią w jednym pomieszczeniu, nie mielibyście żadnych wątpliwości co do tego, że jej się uda. Bo była wówczas ucieleśnieniem marzeń każdego człowieka. Dlaczego dyrektor jakiejś wytwórni filmowej miałby stanowić wyjątek? Próbowwała przez rok, a potem wróciła i znów stała się gorącym, promiennym centrum orbity, po której krążyło nasze życie. Po powrocie z Hollywood zniknęła na tysiące mniej spektakularnych sposobów. Na dzień, wieczór, tydzień. Nawet gdy stała obok, miałam wrażenie, że powoli rozplywa się w powietrzu.

To była jedyna stała rzecz w naszej przyjaźni: ona zniknęła, a ja jej szukałam. Aż w końcu dałam sobie spokój.

Na początku obie posługiwałyśmy się imieniem Joan. Kiedy nasze opiekunki zostawiły nas po raz pierwszy w River Oaks Elementary School, byłyśmy Joan Numer Jeden i Joan Numer Dwa. Nasza przedszkolanka, młoda blondynka, która uczyła bogate dzieci kolorów i alfabetu, póki jej adorator w końcu się nie oświadczył, zamilkła na chwilę podczas odczytywania listy obecności. Zatrzymała się przy naszych imionach. Dwie Joan. Jedna jasna, druga śniada. Jedna, co wydawało się oczywiste nawet w tak młodym wieku, miała wyrosnąć na prawdziwą piękność; druga – ciemnowłosa, z wyrazistymi, regularnymi rysami – była niebrzydka.

– Jak masz na drugie? – zapytała mnie przedszkolanka.

– Cecilia – odparłam.

Miałam pięć lat. Znałam swoje drugie imię, adres i numer telefonu.

– A ty? – Przedszkolanka kucnęła przy Joan. Ujęła jej dłoń w swoją i trzymała ją jak delikatnego ptaka.

Uwolniłam opaloną rękę Joan z uchwytu. Już wtedy nie lubiłam, gdy ludzie pozwalali sobie na poufałości w kontakcie z moją przyjaciółką. Byłam przyzwyczajona, że wszyscy chcą jej dotykać, ale nie podobało mi się to.

– Ona nie ma drugiego imienia – powiedziałam, a Joan radośnie pokiwała głową na znak potwierdzenia.

Nie bała się ani nieznanym, ani rosnących mężczyzn o niskich głosach, ani niczego. Po roku od rozpoczęcia nauki pływania skakała do basenu z najwyższej wieży.

– Nie mam – potwierdziła.

– Ach tak – powiedziała nauczycielka, opierając dłonie na biodrach.

W moich wspomnieniach ubrana jest w bładoniebieską sukienkę w delikatny kwiatowy deseń i ma skromną fryzurę sięgającą brody. Kiedy kucnęła, by z nami porozmawiać, widziałam koronkowy brzeg jej halki. Był 1937 rok i przedszkolanka na pewno desperacko chciała wyjść za mąż, a także uczyć abecadła własne dzieci i to im pokazywać niezliczone odcienie tego promiennego, kolorowego świata.

– To w takim razie ty będziesz od teraz Cecilią. Albo nie, Cece. To ładniej brzmi. A ty – uśmiechnęła się poczekając do mojej przyjaciółki – nie martw się, ty dalej jesteś Joan.

Nasze matki się nie przyjaźniły, ale łączyły je dobre stosunki. Ja i Joan spotkałyśmy się, bo nasze nianie, Idie i Dorie, były siostrami. Chciały pracować blisko siebie w River Oaks i udało im się znaleźć posady w domach, które dzieliła zaledwie ulica. Zatrudniły je dwie skrajnie różne kobiety: Mary Fortier i Raynalda Beirne. Różnice między nimi wynikały – jak to często bywa – z pieniędzy. Mary, matka Joan, była prostą, zwykłą dziewczyną

z Littlefield w Teksasie. Swojego męża, piętnaście lat starszego od siebie mężczyznę, który zdążył się już wzbogacić, poznała jako uczennica szkoły średniej. Zdawała sobie sprawę, jak ogromnie trudno jest się wyrwać z nieciekawego, niedającego żadnych perspektyw Littlefield, i jak bardzo jej się poszczęściło. Jej jedyna córka przyszła na świat, kiedy Mary miała tyle lat, że straciła już nadzieję na macierzyństwo. Joan uczyniła Furlowa ojcem, a Mary matką i oboje sprawiali wrażenie, jakby byli jej za to wdzięczni na wieki. Furlow, potentat naftowy z Luizjany, który zarabiał przez cały okres wielkiego kryzysu, wierzył – podobnie jak wielu innych szczęściarzy – w opatrzność Bożą i owo późne przyjście Joan na świat stanowiło dla niego dowód, że Bóg błogosławił mu w życiu.

Moja rodzina też była zamożna, lecz nie tak bardzo jak Fortierowie. Matka odziedziczyła pewien majątek, a ojciec zajmował stanowisko dyrektora w Humble, ale nie był zaklinaczem ropy naftowej jak Furlow Fortier. Wychodząc za męża, Raynalda doświadczyła znacznego spadku poziomu życia. Dorastała wśród pokojówek, kamerdynerów i niań w Savannah, a w River Oaks zatrudniała tylko jedną służącą i jedną opiekunkę, a jej dom wcale nie był większy niż inne.

Tak czy siak, obie kobiety nazwały swoje pierwotne córki Joan. Dziś wyczuwam w tej decyzji nadzieję. Joan – jak to elegancko brzmi. Elegancko, ale też twardo, stanowczo. Mary i Raynalda musiały czuć się tak, jak gdyby nadawały swoim maleńkim dziewczynkom męskie imię. Może miały nadzieję, że ich córki przejmą zdominowany przez mężczyzn świat wraz ze wszystkimi męskimi przywilejami. Tak naprawdę to pewnie w ogóle nie myślały o takich rzeczach. Joan było piątym najpopularniejszym imieniem wśród dziewczynek urodzonych w 1932 roku. Mary i moja matka nazwały tak swoje córki wzorem innych matek, bo tak to już jest z ludźmi: robią to samo, co wszyscy.

Wróćmy jednak do mojego pierwszego dnia w przedszkolu. Wieczorem, gdy Idie mnie nakarmiła i wykąpała, matka przyszła

utulić mnie do snu. Powiedziała jej wtedy, że zmieniono mi imię. Oczywiście wpadła we wściekłość. Zawsze była wściekła. Ale imię się przyjęło i od tego momentu na Joan mówiono Joan, a na mnie – Cece, co było bardziej wyrazem dźwiękonaśladowczym niż imieniem, podwójnym świstem powietrza, odgłosem przypominającym gwizd.

Przyzwyczałam się do niego.



WYDAWNICTWO  
**KOBIECE**

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

**[www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl](http://www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl)**

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 [www.facebook.com/kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)



ul. Andersa 40A  
15-113 Białystok

e-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

tel. 731-019-059